

# NASIEROWSKA

# FOTOBIOGRAFIA

ZOFIA TUROWSKA





Początek chmurnych lat pięćdziesiątych. W Związku Polskich Artystów Fotografików przy Śniadeckich 10 rozpoczyna się, jak zwykle w środę, odczyt na tematy artystyczne, wygłaszany przez zaproszonych wybitnych ludzi sztuki, nie tylko fotografii. Wśród dorosłych uwagę sekretarki, Marii Kołaczkowskiej, zwraca panienczka, która trochę wstydliwie, ale i z zaciekawieniem przygląda się rozwieszonym na ścianach zdjęciom. „Dobrze pamiętam wieczór, kiedy Panią poznałam – napisze po latach w liście do Zofii Nasierowskiej. – Ojciec Pani, członek związku, przyprowadził za rękę miłą dziewczynkę. Taki był początek Pani zainteresowań i talentu”<sup>2</sup>.

Patrząc na tę drobną osóbkę, niewielu dostrzegłoby zdecydowany charakter. Jak pisał poeta Rainer Maria Rilke, każdy z nas zostaje w dzieciństwie nastrojony na odpowiednie, właściwe mu tony. W drodze do fotografii, która przyniosła jej uznanie i sławę, Zofia Nasierowska od wczesnych lat młodości wyraźnie widziała swój cel.

W trzeciej dekadzie kwietnia 1938 roku Eugenia Nasierowska, z domu Jabłońska, pojechała do swoich rodziców, do Łomianek, pooddychać świeżym powietrzem. Przy centralnej ulicy, Warszawskiej, nazywanej dawniej Drogą do Zakroczymia albo Szosą Modlińską, posiadali oni dużą nieruchomość: dom rodzinny, warsztat kołodziejski, w którym gospodarz świadczył usługi dla rolników, mieszkańców Łomianek i okolicznych wiosek, a przylegającą do szczytu domu część drewnianą wynajmowali komisariatowi policji wraz z aresztem. Majątku

← Zosia Nasierowska: – Mamusia kochała się w kokardach, dlatego często nosiłam aż trzy: dwie na warkoczach (na zdjęciu niewidoczne) i jedną z boku.

dorobili się w Rosji. Stanisław Jabłoński służył tam w wojsku, a jego narzeczona, Antonina<sup>3</sup>, z tęsknoty pojechała za nim, że zaś była zaradna i umiała doskonale gotować, otworzyła w Petersburgu jadłodajnię. Takie smakowitości przyrządzała, że generalicja carska zamawiała u niej przygotowywanie potraw na prozione kolacje w swych domach. Za zarobione pieniądze kupiła sklep drogeryjny. Wieść rodzinna niosła, że do Polski przywieźli w wiadrach złote „świnki”, które, niestety, w znacznej części im potem ukradziono.

Obszerny dom rodziców miał też ładny ogród, w którym Eugenia lubiła przesiadywać, tym bardziej że „wszystko, co żyje i żyć chce, radośnie ku słońcu życiodajnemu się zwraca” – jak pisał komentator „Gońca Warszawskiego”, codziennej lektury Nasierowskich. Tym razem jechała chętnie głównie dlatego, że była w pierwszej ciąży i uważnie słuchała rad swojej doświadczonej matki. Do przewidzianej daty porodu brakowało jeszcze dwóch miesięcy. Starszy od niej o dwa lata mąż, którego poznała na majówce w Lasku Bielańskim, gdzie „tańce i karuzel, i panna Mania pełna wdzięków”<sup>4</sup>, nie uderzał zbyt długo w konkury, skoro ślub w kościele na placu Zbawiciela wzięli w kilka miesięcy po pierwszej randce. Teraz z dumą opowiadał rodzinie i znajomym, że na pewno urodzi się chłopiec i na pewno, tak jak on, pasjonować się będzie wędrówkami i fotografią. Niepokoił się tylko, bo na świecie nie działa się najlepiej: przed miesiącem wojska niemieckie weszły na terytorium Austrii i wcieliły ją do Rzeszy, triumfalnie



Eugenia Jabłońska i Eugeniusz Nasierowski na pierwszej randce

obchodzono czterdzieste dziewiąte urodziny Hitlera, Barcelona pławiła się w bratniej krwi, a w kraju generał Tadeusz Kutrzeba przedstawił marszałkowi Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu założenia planu wojny z Niemcami i określił przewagę militarną Niemiec jako trzykrotną. Wyjazdy żony do Łomianek zdejmowały mu więc poniekąd z głowy zmartwienie, bo gdyby miała się rozpętać w kraju jakaś zawierucha wojenna, w małej mieścinie łatwiej ją przeczekać, a przy tym u swoich rodziców miała przecież jak u Pana Boga za piecem.



Rodzice Zosi na niedzielnym spacerze, Warszawa 1938



Nie mógł przewidzieć, że natura sprawi mu podwójną niespodziankę. Dwudziestego czwartego kwietnia, tydzień po świętach wielkanocnych, w niedzielę, siedzieli w domu jego teściów przed odbiornikiem radiowym i słuchali sprawozdania z biegu Raszyn–Warszawa. Genia, jak tu ją wołano, choć trochę narzekała na bóle w krzyżu, namawiała męża, żeby zabrał ją do Warszawy na najpiękniejszy ponoć, jak ogłaszali w gazetach, film świata *Pani Walewska*, według głośnego romansu Wacława Gąsiorowskiego, z Gretą Garbo w roli tytułowej. Nagle poczuła bóle porodowe. Przyszły ojciec zdążył pojechać po położną...

– Urodziłam się w domu dziadków Jabłońskich przez przypadek – opowiada Zofia Nasierowska. – Zrobiłam im figła, zobaczyłam świat znacznie przed terminem, w siódmym miesiącu. Wówczas porody odbierało się w domu, rodzice wspominali, jak przez dłuższy czas otulali mnie butelkami z ciepłą wodą owiniętymi w ręczniki, co z powodzeniem zastępowało inkubator. Zrobiłam też nie lada niespodziankę ojcu, był przecież niemal pewien, że urodzi mu się syn.



Przyjaciółki z dzieciństwa: Teresa Zarębianka i Zosia Nasierowska, Łomianki 1943

Dołeczek w brodzie zapowiadał zdecydowany charakter →



Rodzice nowo narodzonej córeczki byli jednomyślni: niech będzie Zofia, imienniczka przyjaciółki Eugenii, Zofii Zaręby. Ponadto imię to oznacza boską mądrość, ludowe porzekadła prorokują, że częste u Zofii są talenty artystyczne, Adam Mickiewicz zaś, który był dobrym znawcą tajemnych znaczeń słów i imion, nie przypadkiem przecież tak nazwał bohaterkę *Pana Tadeusza*. Drugie imię – Wiesława – które zwykle noszą twarde realistki, otrzymała na cześć wujka, najmłodszego brata ojca, zaledwie dziewięć lat od niej starszego. Może tym gestem Eugeniusz Nasierowski rekompensował sobie zawód, że jego pierworodnym potomkiem nie jest wymarzony syn?

Zosia, choć wcześniak, rosła jak na drożdżach, niczym świadectwo ówczesnej reklamy odżywki Ovomaltina: „Widocznem jest, że opłaca się kupować Ovomaltinę Dra Wandera. Dziecko rośnie szybko i zachowuje przytem zdrowy i świeży wygląd”. Oczywiście miała niebieściutkie i dlatego babcia Jabłońska nazwała ją bławatką.

Eugeniusz Nasierowski mieszkał z żoną na stałe u swoich rodziców w Warszawie. Teraz, gdy tylko mu czas pozwalał, bo musiał przecież zarabiać na utrzymanie rodziny, przyjeżdżał do Łomianek kolejką podmiejską. Miał 27 lat, przerwane studia u Wawelberga<sup>5</sup>, w pierwszej w Królestwie Polskim prywatnej szkole wyższej, założonej jeszcze w 1895 roku przez polskiego finansistę i filantropa, zajął się budowaniem domów, interesował się fotografią i aparatami fotograficznymi. Dość dobrze mu szło w interesach. Zastanawiał się nad kupnem samochodu, polskiego fiata 508, który producent reklamował jako dobry samochód „budowany w Polsce z doskonałych krajowych surowców. Pewny i wypróbowany w naszych odrębnych warunkach drogowych. Cena – 4950 zł loco w Warszawie”. Postanowił jednak poczekać, bo w Niemczech rozpoczęli właśnie produkcję zachwalanego volkswagena. Zdecydował zainwestować w ziemię i nieruchomości. Kupił dużą działkę, sześć tysięcy metrów, niedaleko Łomianek, w Dąbrowie Leśnej, i dość szybko postawił na niej fundamenty oraz piwnice pod przyszły dom. Marzył mu się jednak rodzinny dom na Bielanach, myśleli z żoną o sprowadzeniu do siebie jego rodziców. Wyznawał zasadę, że dom jest instytucją hierarchiczną – łączy pokolenie starsze i młodsze, rodziców i dzieci. Źródłem takiego przekonania było jego ziemiańskie pochodzenie – majątkiem

Na szkolnej wycieczce →





jego pradziadów, herbu Ślepowron, było Nasierowo i wiele mówiło się w domu o tym rodzinnym gnieździe.

Bielany mu się wyjątkowo podobały. Wielbił przyrodę, a Lasek Bielański to przecież pozostałość dawnych lasów królewskich, wiążących się ongiś z górną częścią Puszczy Kampinoskiej – 150 hektarów starodrzewu, z unikatowym dębem bezszypułkowym. Z lektury *Pana Wołodyjowskiego* Eugeniusz Nasierowski pamiętał uwieczniony przez Henryka Sienkiewicza erem kamedulski, ufundowany na wzniesieniu przez króla Władysława IV. To właśnie od białych habitów najpierw klasztor, a potem cały rejon nazywano Bielaniem. W czasach saskich i stanisławowskich stały się Bielany ulubionym miejscem zabaw i festynów dworskich, a od połowy XIX wieku wyprawy warszawiaków nabrały masowego, ludowego charakteru. Pieszko, wozami, dorożkami, karetami oraz statkami żeglugi parowej Maurycego Fajansa rzesze mieszkańców stolicy ciągnęły, by uczestniczyć w różnego rodzaju rozrywkach.

Stare Bielany znalazły się w granicach Warszawy dopiero w latach trzydziestych XX wieku. Przed pierwszą wojną światową tereny te zajmował rosyjski poligon, a po odzyskaniu niepodległości zapadła decyzja o stworzeniu tu dzielnicy mieszkaniowej. Początkowo stawiano w okolicy przede wszystkim wille, domy szeregowe i parterowe domki jednorodzinne. Zamieszkiwała je klasa średnia: nauczyciele, sędziowie, urzędnicy państwowi, pocztowcy, kupcy, rzemieślnicy. Eugeniusz Nasierowski również był rzemieślnikiem, miał też do tych okolic sentyment, bo tu przecież poznał swoją żonę. Przy każdej więc okazji wypatrywał odpowiedniego dla nich domu. Szczególnie spodobały mu się budowane na gruntach Banku Gospodarstwa Krajowego, między innymi na Ceglowskiej, cichej ulicy z latarniami gazowymi, modernistyczne pojedyncze i szeregowe domy jednorodzinne według projektu Romualda Millera. U schyłku gorącego lata 1939 roku podjął decyzję i ku radości żony oraz rodziców kupił jeden z takich dwukondygnacyjnych domów, właśnie na Ceglowskiej, pod numerem 58, w sąsiedztwie malowniczego Lasku Lindego, zwanego też Uroczyskiem, z pięknymi sosnami, miododajnymi robiniami akacjowymi, masą ptactwa i przepływającym Potokiem Bielańskim. Nie przewidział jednego – na zamieszkanie w tym domu przyjdzie mu czekać kilka trudnych lat...

We wrześniu 1939 roku od Kampinosu wiał rzeński wiaterek i rozchodziła się woń ogródków. Nagle najpierw zahuczało, a zaraz na niebie, nisko nad

głowami, mieszkańcy zobaczyli klucz samolotów srebrzystych od słońca... „Nad Młocinami, Bielanami i Marymontem doszło do pojedynku lotniczego pomiędzy polskimi myśliwcami P-11 a grupką niemieckich bombowców, które oderwały się od zespołu rozproszonego nad Nieporętem przez nasze samoloty. Niemcy zrzucili bomby na oślep i uciekli w kierunku północnym”<sup>6</sup>. Jedną z tych bomb spadła w pobliżu Ceglowskiej i Eugeniusz Nasierowski, ku wielkiej rozpaczy, zobaczył swój nowy dom w części zburzony. Tak zaczęła się dla niego wojna...

W pamięci Zosi wydarzenia tamtego okresu się zlewają. Obrazy zachodzą na siebie, brak w nich porządku.

– Wiem z przekazów rodzinnych, że wróciłam z mamą do okupowanej Warszawy, do mieszkania dziadków Nasierowskich, na Kazimierzowską. Wkrótce jednak w tamtej okolicy powstała tak zwana niemiecka dzielnica mieszkaniowa, z licznymi jednostkami administracji i policji. Dziadkowie musieli się wyprowadzić, a my z mamą na powrót zamieszkałyśmy w Łomiankach, dokąd regularnie przyjeżdżał mój ojciec. Nie mam wiedzy, z czego ojciec podczas wojny utrzymywał rodzinę, wśród zachowanych dokumentów znalazłam książkę czeladniczą numer 4432, wystawioną przez Komisarzycznego Kierownika Izby Rzemieślniczej w Warszawie 28 kwietnia 1940 roku.



Legitymacja czeladnicza Eugeniusza Nasierowskiego

Potwierdzano w niej, że ojciec, czeladnik w rzemiośle mularskim, absolwent szkoły rzemieślniczo-przemysłowej, zdał przed komisją egzamin czeladniczy. A mama, żeby było nam lżej, na parterze domu dziadków Jabłońskich otworzyła sklep spożywczo-kolonialny.

W dniu wybuchu Powstania tata był w Warszawie, ale wkrótce do nas przyjechał. Potem, kiedy zbliżał się front radziecki, rodzice w obawie przed ostrzałem<sup>7</sup> spakowali najpotrzebniejsze rzeczy, przy czym mama, nie wiadomo czemu, haftowaną kapę z adamaszku, i rozpoczęliśmy ucieczkę w kierunku Sochaczewa. Zatrzymaliśmy się na naszej działce w Dąbrowie Leśnej, w piwnicy przyszłego domu. Raptem usłyszeliśmy kanonadę, a niedługo potem charakterystyczne groźne buczenie i zaczęło się bombardowanie. W pewnym momencie wniesiono kobietę z rozerwanym przez odłamek brzuchem. Była w ciąży. Do dziś mam w pamięci koszmarny obraz wyjmowania zakrwawionego płodu. W piwnicy nieustannie gromadzili się ludzie, czekaliśmy na jakąś ciężarówkę, którą w nocy, niczym dreżyną, wieźli nas po torach kolejowych, wszyscy pasażerowie żarliwie odmawiali *Zdrowaś Mario*, a baby jęczały. Zatrzymali nas niemieccy żołnierze, wywlekli spod plandeki i postawili pod ścianą. Byliśmy przekonani, że zostaniemy rozstrzelani, jednak nie wiadomo czemu pozwolono nam odjechać. Dotarliśmy do Sochaczewa. Zupełnie obcy ludzie dali nam schronienie w swoim dwurodzinnym domu. Z tamtego czasu pamiętam dwie sceny, jakby oświetlone fleszem: miejscowy targ, na którym mama z gospodynią próbowały sprzedać kapę, i nagłe zasypanie hałdami kurzu. Mama kapy nie sprzedała, bo sąsiedzi zawiadomili naszą gospodynię, że jej dom okradziono, a zaraz potem w budynek obok uderzył radziecki pocisk i jedna z jego ścian runęła na nasz dom. Nic groźnego na szczęście się nam nie stało, zostaliśmy jedynie lekko poranieni niezliczonymi kawałkami i drobinami szkła z wytłuczonych okien oraz przysypani opadającym gruzem i ziemią. Nie obyło się bez wrzasków i hysterii...

Kiedy tylko front przesunął się na zachód, gospodarz, u którego znaleźliśmy schronienie, użyczył ojcu furmanki, żeby odwiózł mnie z mamą do Łomianek, bo z tych przeżyć rozchorowałam się i dostałam wysokiej gorączki. Okutali mnie w koce i szczęśliwie dotarliśmy do dziadków. Na drugi dzień ojciec wpakował na furmankę rower, żeby mieć czym wrócić, i odprowadził wóz gospodarzowi. Po latach, kiedy ojcu dobrze się już powodziło, podarował temu

gospodarzowi wartburga, tłumacząc mi: „On mi zaufał, wtedy ta furmanka dla niego znaczyła tyle, co teraz dla mnie ten samochód”.

Jeszcze się tliły gruzy spalonej i zbombardowanej przez barbarzyńskiego okupanta Warszawy, a już zewsząd ludzie ciągnęli do swoich dawnych miejsc, do bliskich. Życie brało górę nad rozpaczą. Eugeniusz Nasierowski zaczął myśleć o odbudowie uszkodzonego bombą domu. Wiele się w okolicy Ceglowskiej zmieniło. Lasek Lindego w większości wycięto na opał, zniknęła wysadzona wieża AWF, wówczas jeszcze Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego, na którego terenie stacjonowała jednostka hitlerowskiej Luftwaffe, ogródki porosły chwastem i trawą, latarnie nie oświetlały ulicy łagodnym blaskiem. Najdotkliwszy jednak okazał się dekret Bierutowski, komunalizujący grunty miejskie, pozbawiający wielu mieszkańców stolicy, także więc i bielańczyków, ich własności. Zmieniony został co prawda z łaski na dzierżawę wieczystą, ale poczynania nowej władzy budziły niepewność co do sensu inwestowania. Na razie zatem Eugeniusz Nasierowski wspólnie z młodszym o dwanaście lat bratem Stefanem otworzyli w Alejach Jerozolimskich pod numerem 37<sup>8</sup> sklep ze sprzętem fotograficznym. Klientów przyciągał szyld: FOTO-KINO. Nie tylko kupowało się



Zakład fotograficzny braci Nasierowskich, na zdjęciu od lewej: Stefan, Eugenia i Eugeniusz



u nich niemal wszystko, co związane z techniką fotograficzną, ale też kamery i projektory, a w malutkim, przegrodzonym kotarą wygoszparowanym pomieszczeniu można było zrobić zdjęcie do dowodu czy legitymacji. Punkt był świetny, dodatkowo nieopodal sąsiedztwo rodzinne: pod numerem 65 mieściła się apteka kuzyna, Izydora Nasierowskiego. Inny krewny, magister farmacji, Nasierowski Leon, był właścicielem Chemiczno-Farmaceutycznych Zakładów<sup>9</sup> przy ulicy Kaliskiej, na Ochocie.

Niemal codziennie pan Eugeniusz jeździł do swoich pań do Łomianek. Eugenia Nasierowska nadal prowadziła sklep kolonialny, jej ojciec awansował na sołtysa, a Zosię posłano do miejscowej szkoły. Od razu trafiła do drugiej klasy, a wśród miejscowych dzieci wyróżniała się zaawansowaną umiejętnością liczenia i czytania.

– Dziadek, poza kołodziejstwem, zajmował się stolarstwem, był wprost artystą. Spod jego dłuta i hebla wychodziły piękne stoły, ozdobne drzwi i ramy okienne. Miał koło domu ogromny warsztat, do którego lubiłam zachodzić, bo pachniało tam świeżym drewnem. Patrzyłam na rosnącą górę ostrużyn i z ciekawością czekałam chociażby na zarys powstającego przedmiotu. Tylko odgłos nadjeżdżającego motoru wywabiał mnie stamtąd. To na junaku z przyczepą, najnowszym swoim nabytku, przyjeżdżał ojciec. Zabierał mnie na moje ulubione przejażdżki. Niestety, podczas jednej z nich wylądowaliśmy w betonowym rowie, co skończyło się dla mnie urazem kręgosłupa. Ponieważ miałam również ciągle dolegliwości gardła i stany ropne migdałków, rodzice postanowili wysłać mnie na podkurowanie. Do ciotki Teresy, do Karpacza.

Siostra mojego dziadka, Teresa Nasierowska, farmaceutka, należała do katolickiego zgromadzenia skrytek, bezhabitowych sióstr zakonnych. Raz w roku wkładała habit i taki moment mignął mi przed oczami. Wstąpiła do zgromadzenia, bo starający się o jej rękę nie dotrzymał słowa i ożenił się z jej siostrą. Przeżyła straszny zawód. Zresztą awanturnicze przygody trzymały się wszystkich pań Nasierowskich, bo kolejną z sióstr Teresy porwał amant do Wiednia, gdy dziadek nie chciał wyrazić zgody na ich ślub.

Karpacz – miasteczko z sześciowiekową przeszłością, które wyłoniło się z karkonoskiego lasu – bardzo spodobał się dziewięcioletniej Zosi. Mieszkała w internacie dla dziewcząt, sierot i półsierot, Zacisze Leśne, prowadzonym przez



Ciotka Teresa Nasierowska – farmaceutka, bezhabitowa siostra zakonna

siostry zakonne, gdzie ciotka Teresa kierowała szpitalikiem i przychodnią. Chodziła tam do szkoły, do czwartej klasy, w sanatorium zaś brała inhalacje.

– Za ciotką Teresą przepadałam, a ona mnie wprost uwielbiała, byłam jej oczkiem w głowie. Nie czułam się samotnie, ponieważ ciotka przytuliła jeszcze dwie córki Ludwika Nasierowskiego, najmłodszego brata dziadka Jana. Były prawie moimi rówieśnicami, choć formalnie ciotkami. Starsza, Marysia, prowadziła kółko taneczne, wywijałyśmy kujawiaki, krakowiaki, walce i ona uparcie mnie namawiała, żebym poszła do szkoły baletowej, co na pewno by się spodobało mojej mamie. Zgodnie bowiem z kanonem „dobrego domu”, dziewczynka powinna umieć tańczyć i grać na pianinie.

Rodzice często mnie odwiedzali, opowiadali, że dom na Cegłowskiej się odbudowuje i że kiedy wrócę do Warszawy, zamieszkamy już u siebie i... będę mieć braciszka lub siostrzyczkę.

Wymarzony ojca dom na Bielanych... Tata z mamą wprowadzili się tam chyba pod koniec marca 1948 roku, a w maju urodziła się już na Cegłowskiej moja siostra, Janka. Ja dołączyłam do nich w końcu czerwca, po skończeniu czwartej klasy w Karpaczu. Od września rodzice zapisali mnie do żeńskiej szkoły podstawowej sióstr zmartwychwstanek na Żoliborzu, na Krasińskiego.

Każdy chciał mieć zdjęcie od Nasierowskiej. Kobiety, bo wyglądały romantyczniej niż w rzeczywistości, mężczyźni – bo subtelniej. Z jej fotograficznych portretów promieniowała fascynująca siła piękności. W szalonych i twórczych latach sześćdziesiątych i w pełnych propagandy sukcesu latach siedemdziesiątych niezmiennie było jedno – na dziesiątkach okładek „Filmu”, „Ekranu”, „Zwierciadła”, „Przekroju”, „Kobiety i Życia” pojawiały się twarze znanych aktorek i aktorów, niemal zawsze opatrzone podpisem „foto: Zofia Nasierowska”. Krytycy podkreślali, że Nasierowska jest zjawiskiem i instytucją, czarodziejką i terapeutką, bo spełnia marzenia kobiet.

Po trzydziestu pięciu latach pracy zawodowej, ze względu na chorobę oczu, przestaje robić zdjęcia. Nie poddaje się, jej silny charakter dyktuje wybór zupełnie odmiennego zajęcia: w domu zbudowanym nad mazurskim jeziorem otwiera pensjonat...

Zofia Turowska przedstawia Zofię Nasierowską, „fotografkę boską”, jak nazwał Ją Melchior Wańkowicz, artystkę i dokumentalistkę, która z aparatem w rękę potrafiła sprostać zmianom i przeciwnościom, odnieść imponujący sukces zawodowy i jednocześnie harmonijnie ułożyć wspólnotę małżeńską.

To ilustrowana opowieść o życiu wielokrotnie spełnionym. Większość z ponad 400 zdjęć i dokumentów, świadectw epoki minionej oraz czasów współczesnych, publikowana jest po raz pierwszy.

*Zofia Nasierowska – to czule kobiece oko, to legenda polskiej fotografii portretowej.  
Zosia Nasierowska – to szczególne, słoneczne zjawisko w naszym zgrzebnym  
peerelowskim życiu.*

Tadeusz Konwicki, 1 września 2009 roku w Warszawie

Zofia Turowska – autorka bestselleru *Agnieszki. Pejzaże z Agnieszką Osiecką* i sagi rodziny Onyszkiewiczów *Gniazdo*; współautorka reportażu-dokumentu o wydarzeniach w Stoczni Gdańskiej w 1980 roku *Kto tu wpuścił dziennikarzy?*, faktograficznych powieści: o łódzkiej szkole filmowej *Filmówka* oraz Zespole Filmowym *TOR*, biograficznej opowieści Beaty Tyszkiewicz *Nie wszystko na sprzedaż*.